Cena w Warszawie i na prowincji 40 gr. № 7.

REFLEKTOR

Pismo Tygodniowe

Warszawa, dnia 26 lutego 1928 r.

SPRAWA PRZYSIĘGI LEGJONÓW W 1917 R.

w świetle prasy narodowej i w perspektywie czasu.

Historja nie zawsze i nie dla każdego jest nauczycielką życia. Szczególnie zaś tępymi Historji uczniami są w Polsce dziennikarze t. zw. narodowi i politycy, ci zwłaszcza, którzy najgłośniej mówią o swojem posłannictwie przewodzenia narodowi, o swoim katolicyzmie, wielokrotnie katolickim w okresie wyborów, i o swojej „narodowości". Ci nie nauczyli się niczego.

Najwznioślejszy i najbardziej krytyczny moment martyrologji Polski w dziejach walk o niepodległość — pamiętna odmowa złożenia w roku 1917 przysięgi legjonów na „wierne braterstwo broni" z wojskami Niemiec i Austro-Węgier — i skutki tej odmowy — Szczypiorna i inne obozy koncentracyjne — ten bohaterski opór bierny o potędze Czynu był wtedy dla dziennikarzy i polityków ugrupowań „narodowych" hańbą Polski i wstydem, a inspirator tego Czynu — wielkim „winowajcą", „zbrodniarzem", „zdrajcą". Oni wtedy uważali się za powołanych do dawania wskazań narodowi, oni w bezgranicznej małości swojej śmieli sądzić sprawy, o których wkrótce Historja także inny sąd wydała, oni uważali się za budowniczych nowej Polski, któraby może nigdy nie była powstała z popiołów wojny, gdyby nie owe „winy, zbrodnie i zdrady" Jednego Człowieka.

Dzisiaj po dziesięciu zgórą latach także marnie i nędznie przedstawiają się owe dziennikarskie „racje stanu", dyktowane wtedy rzekomą troską o przyszłość Polski. I nie wartoby było przypominać tych spraw, gdyby nie to, że dzisiaj ci sami ludzie, zamiast przyznać się do błędu i starać się nikczemność naprawić, usiłują błędy te i nikczemności wymazać z pamięci i znowu wysuwają te same „racje", co i wówczas, lecz wyrażone współcześnie w innej formie, w formie, usymbolizowanej w liczbie 24.

W lipcu roku 1917 legjony odmówiły złożenia przysięgi. Nie wszyscy wówczas Czyn ten rozumieli, — o istocie tego Czynu nie wolno było pisać. Wolno było jedynie Czyn ten fałszem oświetlać, co też skwapliwie ku wielkiej radości okupantów czynili „przewodnicy opinji publicznej" a pod teraźniejszego znaku liczby 24

Dzisiaj — pomimo tej „pracy narodowej" — okupantów już dawno niema — i teraz, gdy można spojrzeć na fakty z perspektywy czasu inaczej się czyta owe wywody, dyktowane „racją stanu" z roku 1917.

Dziennik prawicowy „Głos" w nr. 176 z dnia 17 lipca umieścił na naczelnem miejscu artykuł p. t „Winowajca".

Ten „winowajca" — to oczywiście dzisiejszy Marszałek Polski i Premjer Rządu Niepodległej Ojczyzny.

Czytamy tam:

„Przeżyliśmy bolesny, upokarzający moment. Wolelibyśmy nie mówić o nim, nie wiedzieć, — ale niestety — ukryć go nie można.

„Dzień zaprzysiężenia wojska polskiego Polsce nie był dla stolicy kraju wielkiem, łzami zachwytu oblanem świętem.

„Zaprzysiężenie dokonało się w koszarach, w obecności członków Rządu Stanu, a i tam część Legjonistów od przysięgi się uchyliła. Nie warto pytać, czemu to zrobili. Będą przytaczali

różne racje bez związku między sobą i bez związku z rzeczywistością.

„Nikt nie wątpi, że przyczyna leży gdzieindziej, że legjoniści — żołnierze czy oficerowie działali pod presją z zewnątrz, byli biernem narzędziem woli, która zdołała ich opanować i skrępować, w imię karności wojskowej, popychając do wojskowych buntów. Albo nie wiedzą, co czynią, albo nie władają sobą, ulegając hypnozie, z której nie mogą się otrząsnąć.

„Raz nareszcie trzeba powiedzieć prawdę, która jest tajemnicą publiczną. Piłsudski wzbronił przysięgi; on jeden odpowiada za to, co się stało".

„Tu nie było żadnych motywów zasadniczych i być ich nie mogło. Była tylko gra osobistego interesu i osobistej ambicji, rzucona w poprzek drogi, na której naród polski do niepodległości idzie".

(A więc „dzień zaprzysiężenia" miał być świętem — odmowa przysięgi była karygodnym buntem — legjoniści nie wiedzieli, co czynili — była to gra, rzucona w poprzek drogi do niepodległości. To mówili społeczeństwu dzisiejsi kandydaci z listy Nr. 24.)

Artykuł kończy się wskazaniami:

„Powaga Rady Stanu jest dziś powagą państwa polskiego... Świątą powinnością członków Rady Stanu jesf przeciwstawić się z całą mocą destrukcyjnym zamachom, dążączm do zlikwidowania jawnej polskiej władzy, a powrotu do podziemnej konspiracji. Obowiązkiem komendy Legjonów jest ukrócić próby zamiany polskich pułków na partyjne bojówki, zaszczepiania w wojsku polskiem wzorów rosyjskiej anarchji. Polska ma wyjść z chaosu, organizować się, nie zaś tonąć w zamęcie. Trzeba mieć siłę i odwagę, jakiej wymaga chwila obecna, a jest to chwila historycznej wagi i decyduje się być, albo nie być naszej sprawy. Nie uleczy Polski to, co ją zabiło: rokosze wojskowe, konfederacje, veta hetmańskie".

(W myśl życzeń, wyrażonych w tym artykule, aby Polska „wyszła z chaosu" — legjoniści, którzy odmówili przysięgi, zostali internowani, a Komendant aresztowany i uwięziony w Magdeburgu. Życzeniom prasy „narodowej" stało się zadość. Niemsy liczyli się z opinją „narodową".)

Wyrazem tych samych poglądów „narodowych" był ogłoszony w dwa dni później list otwarty działaczki „narodowej" Izy Moszczeńskiej „do Brygadjera Piłsudskiego".

List ten wydrukowany został dnia 19 lipca 1917 r. w nr. 195 „Godziny Polski", pisma wydawanego — jak wiadomo — przez okupantów.

W liście tym p. Moszczeńska m. in. pisze:

„Dziś w Warszawie i poza Warszawą agitatorzy powołujący się na Pańskie nazwisko i Pańskie rozkazy, pouczają legjonistów, że obecnej przysięgi składać nie należy, że Pan wzbraniasz przysięgać wierność Ojczyźnie i Królowi Polskiemu. Tej sprawy nie można pominąć wykrętnem milczeniem. Publicznie winieneś Pan ogłosić, jakie Pańskie zdanie i Pańska wola. Czy żołnierz polski ma obowiązek przysięgę wierności względem Ojczyzny i przyszłego króla złożyć czy nie?—A więc, czy Pan chcesz, by wojsko polskie tutaj powstało, czy nie?"

„Kobieta polska" p. Iza Moszczeńska zadaje pytania Brygadjerowi Piłsudskiemu, czy On chce, aby wojsko polskie powstało — i oburza się — jakże zgodnie z poglądami okupantów — że Legjoniści za Jego sprawą odmówili przysięgi.

Dzisiaj p. Moszczeńska jest jedną z kandydatek na „wodzów narodu" z listy nr. 24.

Historja nie nauczyła jej niczego.

Te krótkie przypomnienia o „pracy narodowej" dziennikarzy i polityków w roku 1917 charakteryzują dokładnie wartość ich haseł dzisiejszych. Te rzeczy trzeba pamiętać — zwłaszcza gdy blaga „narodowa" zbyt daleko się posuwa.

Jedna tylko jest w tem zagadka. Dawniej pracowali „narodowo" w myśl interesów niemieckich. W myśl czyich interesów pracują dzisiaj?

Na zakończenie przytoczymy tekst roty przysięgi legjonów z roku 1917, przysięgi, która miała dać stolicy Polski „wielkie, łzami zachwytu oblane święto".

Przysięga ta brzmiała:

„Przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu że Ojczyźnie mojej, Królestwu Polskiemu i memu przyszłemu królowi, wiernie i uczciwie będę służył na lądzie i wodzie i na każdem miejscu, że w wojnie obecnej ***dotrzymam wiernie braterstwa broni wojskom Niemiec i Austro-Węgier oraz państw z niemi sprzymierzonych***, że będę przełożonych swych i dowódców słuchał, dawane mi rozkazy i przepisy wykonywał, abym mógł żyć i umierać jak mężny i prawy żołnierz polski. Tak mi Boże dopomóż!

Prasa światowa o stosunkach w Rosji Sowieckiej

Wiadomo ogólnie, że rząd sowiecki z wielkim nakładem kosztów i, przyznać trzeba, bardzo umiejętnie czynił starania o to, aby we wszystkich krajach zapewnić dla siebie przychylne informacje dziennikarskie, aby mieć t. zw. dobrą prasę.

Szczególniej my Polacy, lepiej poinformowani, o tem co się dzieje po tamtej stronie kordonu, czytaliśmy artykuły o stosunkach w Rosji ze zdziwieniem: dlaczego pisma w wielu językach nie piętnują morderstw i okrucieństw bolszewickich tak jak na to zasługują, dlaczego nie nazywają rzeczy właściwem mianem i nie przedstawiają istniejącego regime'u takim, jakim jest w rzeczywistości?

Przyczyny tego są wiadome: z jednej strony jak to zaznaczyliśmy, umiejętnie zorganizowana propaganda, z drugiej strony, antagonizmy i wzajemna między sobą niechęć mocarstw, które, jed-

ne przed drugiem usiłowały zapewnić dla siebie część surowców produkowanych w Rosji, a głównie tak potrzebną naftę i wpływ na opinję zapomocą własnych organów prasy tego odłamu międzynarodowej finansjery, która otwarcie dąży do celu zniweczenia sił ekonomicznych narodowych we wszystkich krajach.

Jednakże od pewnego czasu w stosunku prasy francuskiej, angielskiej i niemieckiej do Sowietów coś się zmieniło. O tem co się dzieje w Rosji zaczęto pisać bez ogródek.

Duże wrażenie wywarła w swoim czasie w Anglji sprawozdanie pani Clynes, żony ex-ministra i jednego z przewódców Labour-party, z podróży po Rosji, w którym nędza robotników i despotyczne traktowanie ich przez władze upaństwowionego przemysłu, zostały opisane w barwach rzeczywistych. Chociaż nie opublikowana w pismach, praca ta wystarczyła by przekonać ludzi szczerych i nie zainteresowanych w propagowaniu bolszewizmu wśród szeregów „trade-unionów".

W Niemczech, ambasador Brockdorf Rantzau, gdy wystąpił z wnioskiem o konieczności uzupełnienia traktatu handlowego z Sowietami klauzulą o nowych kredytach dla przemysłu rosyjskiego w celu wywarcia nacisku na mocarstwa byłej Ententy przez drażnienie ich mirażem ścisłego porozumienia i wspólnej polityki rzeszy niemieckiej z Sowietami, napotkał energiczny sprzeciw ze strony zainteresowanych syndykatów. „Berliner Tageblatt", i wszystkie pisma specjalnie wystąpiły z ostrzeżeniami przed ryzykiem angażowania kapitałów w przedsiębiorstwa sowieckie, opierając się na doświadczeniach dotychczasowych i wyliczając sumy dotychczas już utopione na budowę warsztatów, których z powodu ingerencji ge-pe-u i so-promkomu do administracji fabryk nie mogą być normalnie eksploatowane.

Najdobitniej jednak zarysowuje się zmiana tonu w prasie francuskiej.

Jako ilustrjację tej zmiany, przytoczę wyciąg z krótkiego artykułu w „Le Journal" pod tytułem: „Trzy miljony morderstw".

„Sowiet moskiewski" czytamy tam, „obchodzi w tych dniach dziesięciolecie założenia instytucji zwanej „Czeka", utworzonej przez Lenina i Trockiego w 1917 r. która w lutym 1921 r. zmieniła nazwę na „ge-pe-u".

„Podług oficjalnych statystyk, do września 1921 r. w Czeka było popełnionych 1766118 morderstw, które się dzielą jak następuje:

3775 profesorów, 8800 lekarzy (mężczyzn i kobiet), 355250 i innych inteligentów, 1243 księży, 260000 żołnierzy, 192350 ***robotników*** i 815000 chłopów".

„Od tego czasu prasa urzędowa przestała ogłaszać listy ofiar, lecz kto wie o tem, że krwawy ustrój trwał dalej, a czeka i ge-pe-u pracowały wciąż równie gorliwie, nie może mieć żadnej wątpliwości co do tego, że liczba zamordowanych przez powyższe organy władzy sowieckiej, wynosi znacznie więcej niż trzy miljony".

Znamienne też są dwa artykuły w „Le Matin", oba czołowe, wydrukowane dzień po dniu jeden zatytułowany „W raju Sowieckim robotnicy giną więcej niż gdzieindziej" (autor Henryk Korab), drugi naczelnego redaktora, tegoż pisma, Stefana Lausanne pod tytułem „W Rosji cywilizacja bierze rewanż". Pierwszy opiera się na cyfrach i cytatach z boszewickiego organu „Woprosy Truda", który twierdzi: „W Rosji w 1926 r. na 10000 pracujących robotników zarejestrowano 1706 nieszczęśliwych wypadków, z których 180 śmiertelnych i kilkaset takich, których ofiary zmarły po pewnym czasie z odniesionych ran. W roku następnym liczba ta prawie się podwoiła".

Powyższy organ tłumaczy w ten sposób przyczyny tak nienormalnej liczby wypadków: „Minimum kosztów utrzymania pełnoletniego wykwalifikowanego robotnika w Rosji wynosi 47 rb. 70 k. miesięcznie. Przeciętny zarobek wynosi tylko 39 rb. 40 kop. Różnicę (8 rb. 30) musi każdy pokryć ze sprzedaży posiadanych przedmiotów".

„Ponieważ przeważnie każdy już dawno wysprzedał co miał zbywającego i obecnie nie ma za co się odżywiać, stąd pochodzi, że wedle pisma „Higjena Pracy", robotnik rosyjski jest wyczerpany i niezdolny do pracy już w 45 roku życia. Wedle praw sowieckich w tym wieku należy mu się emerytura, ale tej nigdy nie dostaje z powodu braku funduszów".

A jednak są ludzie, którzy na mityngach w Paryżu i w Londynie, opowiadają, że rosyjscy robotnicy osiągnęli już te prawa i te idealne warunki bytu, o których muszą walczyć ich towarzysze w innych krajach.

Drugi artykuł Lausanne'a, mówi o przyczynach nędzy, w której cała Rosja jest pogrążona.

Najbardziej jaskrawy ustęp, to przytoczona rozmowa amerykańskiego publicysty Lee z sekretarzem stanu pracy w Moskwie, Radkiem: „Dla czego", pytał amerykanin, nie prowadzicie żadnej propagandy wśród robotników w Ameryce?"

Na co odrzekł Radek z tłumioną wściekłością: „Jaka propaganda może się udać w kraju, gdzie jest 23 miljony automobilów prywatnych? „Istotnie", czyni uwagę Lausanne, „tam, gdzie robotnik odjeżdża ze swego własnego domku do zajęcia do fabryki własnym automobilem, nie można nikomu tłumaczyć, aby walka klas była potrzebną i celową. Żaden argument nie będzie silniejszym od wrażenia wywartego przez widok kilku tysięcy automobilów ustawionych w szeregu na olbrzymim placu przy fabryce w oczekiwaniu na to, by po skończonej pracy każdy z właścicieli odjechał, ten do swojego domu i rodziny, drugi do swojego klubu, trzeci na plac ćwiczeń sportowych, w których bierze udział".

„W Ameryce", wywodzi dalej autor, ogólna zamożność wytwarza bogactwo i powszechny dobrobyt, tak jak w Sowdepji nędza wytwarza zwiększoną nędzę. Oto dlaczego bolszewizm, niszcząc nagromadzoną przez wieki oszczędność narodu odepchnął cywilizację w tył, a w Ameryce praca, przez tworzenie bogactwa toruje drogę do postępowania naprzód". „Pomiędzy temi dwoma zmagającemi się siłami walka jest nierówna; i ta która jest rodzicielką nędzy, z wysiłku musi prysnąć".

KARTKI LITERACKIE.

Sylwetka G. Meyrinka, jako satyryka „prusactwa".

Swiat literacki Niemiec obchodził niedawno sześćdziesięciolecie urodzin Gustawa Meyrinka, jednego z najznakomitszych współczesnych pisarzy niemieckich. Twórczość powieściowa Meyrinka nie jest czytelnikom polskim obca dzięki przekładom polskim jego powieści „Zielona twarz", „Golem", „Noc Walpurgji", „Biały Dominikanin", natomiast utwory pomniejsze, nowele, pochodzące z pierwszego okresu pracy pisarskiej, dotąd nietłomaczone, mało są w Polsce znane. A są one bardzo charakterystyczne i ciekawe, niezależnie od wartości artystycznej, także ze względu na niezwykły stosunek pisarza niemieckiego do niemczyzny, a raczej do „prusactwa"—są pewnego rodzaju dokumentami czasu—i to tem ciekawszemi dla nas, iż z wszelkiemi cechami owego „prusactwa" — tak jaskrawo ujawnionemi przez Meyrinka, mieliśmy sposobność zetknąć się bezpośrednio w czasach zaborczych.

Gustaw Meyrink w nowelach swoich, zwłaszcza w nowelach satyrycznych jest—brzmi to nieco paradoksalnie — anty-niemcem, a raczej wrogiem tej cechy charakteru niemieckiego, którą nazwaliśmy „prusactwem". Obdarzony niezwykłym temperamentem, i nie mógł spokojnie patrzeć na pyszałkowatość junkra pruskiego, na militaryzm obłudnie skrywany pod maską patrjotyzmu, na szantaże uprawiane pod egidą polityki i dyplomacji, obnażał więc to wszystko, wyprowadzał na światło i chłostał biczem swej satyry.

Pewne pojęcia o tym rodzaju twórczości Meyrinka da streszczenie kilku utworów, najbardziej charakterystycznych.

Taka np. humoreska-satyra p. t. „Zdobycie Sarajewa". — Pewien cesarz austrjacki (Meyrink mieszkał wtedy w Wiedniu) przybył na otwarcie wystawy bydła rasowego i wygłasza przemówienie okolicznościowe. Miał zaś w kieszeni przygotowane różne mowy, w pośpiechu wydobył kartkę z inną mową i zamiast mowy na otwarcie wystawy wygłosił proklamację wojny z państwem sąsiedniem. Mowa wywołała zapał niebywały. Bydło rasowe pozrywało się z uwięzi i z rykiem biegało jak szalone, a z tysięcy piersi rozbrzmiał entuzjastyczny okrzyk: Niech żyje nasz wielki dobry cesarz! — I jak zwykle bywa po takiej proklamacji cesarskiej, zapał wojenny ogarnął cały kraj. Nikt nie chciał pozostać w tyle. Najbiedniejsi nawet składali na ołtarzu ojczyzny złote obrączki ślubne Dziewczęta dzień i noc skubały szarpie, a damy z towarzystwa organizowały zbiórki na Czerwony Krzyż.

Nowela ta była napisana przed rokiem 1914, zdumiewa tu niezwykła przenikliwość Meyrinka który tak dokładnie umiał przewidzieć zachowanie się tłumu przy wybuchu wojny, chociażby wojna była tylko pomyłką lub kombinacją dyplomatyczną. Przewidywania te najdokładniej sprawdziły się w dniu wybuchu wielkiej wojny. Hasło „der Kaiser ruft"—cesarz wzywa — było wtedy dostatecznym powodem do wzniecenia nastroju bojow Berlinie i w Wiedniu.

Inna nowela, — charakteryzująca etykę oficerów austrjackich. Pewien archeolog, rozkopując ziemię, znalazł kasetkę żelazną a w niej dziwną jakąś elastyczną, lepką, czarno-żółtę masę wydzie-

---

ŚMIERĆ SŁONECZNA.

NAPISAŁ
WACŁAW JURCZYK.

Przez otwarte naoścież drzwi oszklone, prowadzące na taras, i przez wielkie okna sali stołowej kasyna oficerskiego weszła do wnętrza cicho, spokojnie czerwień zachodu. Wsunęła się blada—i co chwila przybierając czerwonej mocy, objęła we władanie salę: osiadła na ścianach, padła na biel obrusa, zrumieniła lica wieczerzających oficerów.

Przy stole panowała cisza. Wszyscy jedli w milczeniu. Wypowiadane od czasu do czasu uwagi pozostawały bez odpowiedzi. Dopiero niezwykłe barwy zachodu wywołały bardziej ożywione wymiany zdań.

— Co za cudowne niebo... Cały ocean krwi...

— Czyż naprawdę ocean krwi usposabiałby cię do zachwytów?...

— Rzeczywiście... Właściwie... dlaczego czerwień nasuwa nam zawsze porównanie z barwą krwi?...

— Chwila obecna—odezwał się ktoś na drugim końcu stołu—przypomina mi pewien obraz: Ostatnią Wieczerzę. Nie pamiętam już gdzie to widziałem. Obraz był utrzymany całkowicie w wybitnie czerwony tonie. Tak samo jak teraz mienił się obrus czerwienią, tak samo były zarumienione twarze apostołów... i—dziwna rzecz—wtedy również przyszła mi na myśl krew. Zdaje mi się nawet, że malarz przez użycie czerwonego zabarwienia chciał widzowi narzucić wrażenie zbliżającej się męki,— krwi, która miała być przelana—

— A ilu nas jest przy stole?... Raz, dwa, trzy, cztery...—zaczął ktoś liczyć — Trzynastu... to nadzwyczajne...

— To niedobrze... – odezwał się nowy głos.

Przyniesiono herbatę.

— Przecież codzień jest nas trzynastu — począł tłomaczyć jeden z oficerów—a zachód słońca?... Rozprawiacie jak panienki... Cóż?... Był wschód, musi być i zachód... Bardzo proste... Był dzień, teraz będzie noc... Jak zwykle...

— Będzie noc... — powtórzył jak echo i jakby sam dla siebie milczący dotąd oficer lotnictwa, kapitan Dalecki—i w tejże chwili nerwowym ruchem odsunął szklankę z herbatę, powstał i szybko wyszedł na taras.

Koledzy spojrzeli znacząco po sobie

Dalecki zdradzał niezwykle silne zdenerwowanie już od dłuższego czasu. To też zachowanie się jego nie dziwiło nikogo. Po takich przejściach,

lającą woń zgnilizny. Najwybitniejsi uczeni nie mogli dociec, co to za materjał. Wreszcie wyjaśnił sprawę poeta, któremu duch jakiś oznajmił: Masa o błyszczącej powierzchni, barwy czarno-żółtej (barwy austrjackie), dająca się rozdrobnić na najmniejsze cząstki i zlepić znowu w całość, jak smoła—jest to zmaterjalizowane oficerskie słowo honoru.

W innej opowieści mówi Meyrink o uczonym Hiramie Willu, który odkrył sposób stwarzania sztucznych ludzi, nawet produkował syntentycznie mózgi myślące samodzielnie. Źle mu się jednak wiodło „bo na cóż mogą się przydać samodzielnie myślące mózgi w krajach mówiących po niemiecku?“

Pewnego dnia do uczonego przyszedł oficer pruski, aby zbadać przydatność sztucznych ludzi do służby wojskowej. Przypadkowo położył swoją pikielhaubę na jeden z owych sztucznych mózgów a gdy następnie podniósł pikelhaubę, mózgu już nie było. Znikł, a na jego miejscu znalazł się jakiś pysk, jakaś gęba ohydna, koślawa, wykrzywiona ze spiczastemi do góry podkręconemi wąsami.

Uczony Hiram Will oniemiał z przerażenia Więc to takie jest działanie pikelhauby! z myślącego mózgu czyni bezmyślną gębę? —Uczony zwarjował i odesłano go do domu warjatów, a gęba z pod pikelhauby poczęła wrzeszczeć.

Deutschland, Deutschland über alles!

Jeszcze jedna nowela. — Młody lew zabłąkał się na pustyni i przystał do stada baranów. Wychowywał się więc razem z baranami, uczył się, a gdy następnie wyraził chęć, wstąpienia do szkoły kadetów, pastor szkolny Dr. Simulans tłomaczył mu: Niestety, to jest niemożliwe. Oficerami mogą być tylko prawdziwe barany! i kończy swe przemówienie słowami pociechy: Lerne zu leiden ohne zu klagen (ucz się cierpieć bez skargi — jest to sentencja z pewnego orędzia Wilhelma do narodu niemieckiego).

W czasie wojny nowele te zostały z nakazu cenzury niemieckiej skonfiskowane i w zbiorowem wydaniu pism Meyrinka już się nie ukazały, bądź też zostały wydrukowane ze zmianami ustępów drażliwych. Ostatnią np. nowelę zmienił Meyrink w ten sposób: lew pragnie zostać historykiem literatury, a pastor mówi historykami literatury mogą być tylko prawdziwe barany, — co nawiasem mówiąc wcale nie zmniejsza pikanterji pomysłu pierwotnego.

Wogóle w utworach swych nie pomija Meyrink żadnej okazji, aby nie wspomnieć o oficerach radcach ministerjalnych, dyplomatach i dygnitarzach, przeróżnych. W małej nowelce o faunie dna morskiego, gdzie mowa o maleńskich rybkach — lancetnikach, czyni Meyrink taką uwagę:

„O to są wysokie figury, wielcy panowie, radcy dworu, dyplomaci .. Prawdziwe cuda natury. Już od urodzenia przeznaczone na wysokie stanowiska: nie mają ani mózgu, ani stosu pacierzowego.

O szkołach niemieckich wyraża Meyrink taką opinię.

„Nasze szkoły — to fabryki trutek. Formują i kształcą rozum, dopóki dusza nie uschnie. Gdy to wreszcie nastąpi, dostaje się świadectwo dojrzałości“.

Wyjątków takich możnaby z pism Meyrinka przytoczyć nieskończoną mnogość—jednak i te wystarczą, aby scharakteryzować ten okres twórczości sześćdziesięcioletniego jubilata, w którym wielki pisarz niemiecki zasłynął, jako satyryk junkierstwa pruskiego,—okres najmniej znany czytelnikowi polskiemu. *W. J.*

---

jakie miał Dalecki, można, było oszaleć, nietylko nabawić się rozstroju nerwowego. Przejścia te wszyscy znali doskonale. Podczas wojny poleciał Dalecki nocą nad linje nieprzyjacielskie. Dostrzeżono go i zaczęto ostrzeliwać. Setki luf skierowano ku śmiałemu lotnikowi. Dostał jedną kulę w piersi, drugą w ramię, wtedy zawrócił, lecz trzecia kula ugodziła go w głowę. Stracił przytomność i spadł razem z aparatem na teren nieprzyjaciela. Trzykrotnie rannego i ciężko potłuczonego wzięto do niewoli, gdzie znęcano się nad nim w najokropniejszy sposób. Po tygodniu swoi odbili go—cztery miesiące leżał w szpitalu, wyleczył się wreszcie, lecz wspomnienie owej strasznej nocy zostało. Nic więc dziwnego, że odtąd kapitan stale unikał ciemności. Nieledwie bał się nocy. Starał się też przebywać zawsze w jasno oświetlonych lokalach, a nawet sypiał przy świetle,

Wyszedłszy na taras, Dalecki stanął i patrzył na opadający coraz niżej czerwony krąg słoneczny,

W oczach tliły mu się dziwne blaski niepokoju, ręce nerwowo drżały.

Słońce zachodzi. Będzie noc.

Pod wpływem nagłego postanowienia skoczył ze stopni tarasu i biegnąc raczej niż idąc. podążył w kierunku pobliskich hangarów lotniczych,

Wpadł do hali i ujrzawszy kogoś z obsługi rzucił pospiesznie polecenie.

— Mój płatowiec na lotnisko... prędzej.

— Rozkaz, panie kapitanie!

Za chwilę kilku żołnierzy wytoczyło aeroplan i Dalecki usadowił się przy motorze.

— Prędzej... prędzej.

Zawarczało śmigło... zadrżał płatowiec...

— Panie kapitanie... coś nie w porządku...

— Nic. . zdaje wam się... puszczajcie...

Wyzwolony pegaz potoczył się po błoniu... porwał się lekko i uniósł...

Opadła w dół ziemia. . rzuciły się w tył błonia i domostwa podmiejskie.

Kapitan skierował płatowiec wprost na jaśniejącą na zachodzie tarczę słoneczną.

Ludziom, pozostałym na lotnisku, aparat majaczył czas jakiś na jaśni kręgu słońca— jak plama, jak punkt—wreszcie rozpłynął się w czerwieni — roztopił się w ogniu —

A lotnik leciał w dal—do słońca.

Będzie noc —

Ha —

Nie będzie nocy —

Nigdy — nigdy —

Słońce uchodzi —

KRONIKA ZAGRANICZNA.

PODRÓŻ MIN. TITULESCU. Natarczywość Mussoliniego w stosunku do bliższych i dalszych sąsiadów Włoch dała się już wszystkim we znaki. Najbardziej kłopotliwe jest położenie Rumunji, która wysoko podnosi swe pokrewieństwo plemienne z narodem włoskim, ale obecny kurs włoskiej polityki zagranicznej jest jej ogromnie nie na rękę. Nie ulega dzisiaj najmniejszej wątpliwości, że Mussolini wytrwale zmierza do obalenia obecnej równowagi na Bałkanie i pierwszą ofiarą jego natarczywości musiałaby stać się Jugosławja, będąca razem z Rumunją członkiem Małej Ententy, protegowanej przez Francję. Rozszerzenie się wpływów włoskich na Bałkanie musiałoby odbyć się kosztem Francji i tutaj należy podkreślić zręczność polityki francuskiej, która, jak się ostatnio dowiadujemy, podobno już przedłożyła Włochom konkretne propozycje co do usunięcia nieporozumień, proponując ustępstwa dla Włoch w Tunisie. W ten sposób Francja chce odciągnąć Włochy od parcia na Bałkan, gdyż inaczej niewątpliwie wybuchnąć może starcie zbrojne. Wszelka zaś wojna na Bałkanie jeszcze bardziej utrudniłaby położenie Rumunji. Trudnego też zadania podjął się min. Titulescu, udając się do Rzymu i zapewne jego zadaniem było raczej przygotowanie gruntu dla rozmów włosko-francuskich, albowiem wszystko to, co mógł Mussoliniemu ofiarować od Rumunji, zgóry można uważać za niewystarczające.

Wprost z Rzymu udał się Titulescu do Paryża i nie mógł inaczej postąpić, albowiem niewątpliwie Francja będzie tym dającym. Udzielone tam przez niego wywiady stwierdzają, że stosunek do Włoch jest dosyć naciągnięty i zamyka się we frazesie, że ponieważ Włochy nie chcą zmieniać traktatów, niema więc przeciwieństwa między polityką włosko-węgierską (okrążenie Rumunji i Jugosławji) a włosko-rumuńską.

PRZYJAŹŃ FRANCUSKO-AMERYKAŃSKA. Dobre stosunki Francji ze Stanami Ziednoczonemi datują się od walk wolnościowych Ameryki Półn. t. j. od 150 lat i ta rocznica umyślnie była wybrana przez Amerykanów dla zamanifestowania swej woli pokojowej, doprowadzając do podpisania a raczej przedłużenia traktatu arbitrażowego z Francją. Miało przytem nastąpić uroczyste potępienie wojny, ale widocznie uznano to za zbyt oczywistą bezczelność wobec tego, że Stany Zjedn. co tylko poczyniły ogromne wydatki na flotę wojenną. Wszystkie te fakty Anglja przyjmuje jako demonstrację przeciwko sobie i również stara się zbroić na morzu. Po wojnie światowej Stany Zjednoczone nietylko stały się bankierem świata, ale ich flota tak szybko wzrasta że wkrótce przewyższy flotę angielską. Utrata zaś hegemonji przez Anglję na morzu zapewne nie obejdzie się bez wojny. Następnie Stany Zjednoczone spostrzegły, że inne państwa prześcigają się co do ilości łodzi podwodnych. Choć nic łatwiejszego dla nich, jak wybudować tysiące takich łodzi, które nie są drogie i stały się dzisiaj bronią, chętnie używaną szczególnie przez małe, biedne państwa, to przecież można i przy tej sposobności zrobić sobie trochę reklamy i wobec zbliżających się w Ameryce wyborów poprawić swoje szanse w stosunku do przeciwników politycznych.

Chyba tylko właśnie tak można tłumaczyć ostatnią propozycję rządu amerykańskiego zniesienia wogóle łodzi podwodnych. Amerykańskie pro-

---

Napróżno —
Mój pegaz je dogoni —
Poleci w dal nieznaną —
Gdzie słońce nigdy nie zachodzi —
Gdzie wieczny dzień —
Prędzej.
Prędzej.
Warczy śmigło.
Słońce opada coraz niżej—niżej —
Prędzej.
Wyżej —
Nie stracić słońca z oczu.
Motor pracuje jak nigdy.
Płatowiec osiągnął niebywałą szybkość.
Słońce zapada — kryje się za odległą linję horyzontu —
Prędzej —
Dołem migają—niwy—lasy—rzeki—miasta —
Wyżej.
Mgły wieczorne ścielą się na ziemi
Ginie ziemia —
Wyżej —
Już nic niema —
Ja — i słońce —
Prędzej —
Wyżej —
Do słońca —
Na nieboskłonie czerwień roztapia się w dziwne fjolety —
Pasma obłoków pochłaniają słońce —
— — — — — — — — — — — — — — — —
Prędzej —
Wyżej —
Kapitan szarpnął ster—zakręcił coś w motorze—
Błysk — huk
Słońce.
Buchały płomienie —
Zajęły się skrzydła —
Jasność — blaski
Słońce —
Pęd — szał — wir.
Płonący pegaz leci w dół, siejąc w mrok zmierzchu ulewę iskier.
Żar.
To słońce — Słońce —
Moment upadku —
Ostatnia chwila —
Czaszka lotnika strzaskana o motor —
Krew oczy zalewa —
Ocean czerwieni —
To słońce —
Słońce.

pozycje pod adresem państw europejskich są o tyle kłopotliwe, że te ostatnie są dłużnikami Ameryki i mogą działać pod przymusem. Należy przypomnieć, że gdy Anglja uczyniła taką propozycję przed 7 laty, Stany Zjednoczone dały odpowiedź odmowną. Naogół projekt zniesienia łodzi podwodnych spotkał się wszędzie z chłodnem przyjęciem u państw wielkich, z wyjątkiem Anglji, a tembardziej nie będzie poparty przez państwa małe.

Na korzyść Francji należy niewątpliwie zapisać fakt, że w sprawie skomplikowanej sytuacji międzynarodowej interesy francuskie nie krzyżują się z amerykańskiemi i to pozwala kontynuować przyjaźń, zadzierzgniętą przed półtora stuleciem a tak pięknie odnowioną w wojnie światowej. Gdyby nie zastrzeżenia Ameryki co do przestrzegania doktryny Monroe'go, niewątpliwie doszedłby także do skutku traktat przymierza między obu państwami.

NOWY RZĄD GDAŃSKI. Dla trzeźwo patrzących polityków jasnem było, że polityka, jaką prowadzili szowiniści niemieccy w Gdańsku w stosunku do Polski, jeżeli szkodzi Polsce, to dziesięćkroć bardziej szkodzi samemu Gdańskowi. Kilka długich lat trzeba było, aby ludność gdańska zdecydowała się na krok stanowczy i ukróciła wybryki szowinistów, oglądających się stale na Berlin. Obecny rząd centro-lewicowy, który wyszedł z ostatnich wyborów, zapoczątkował politykę porozumienia z Polską, przyjmując zasadę bezpośredniego porozumienia, bez uciekania się do Ligi Narodów. Pierwsze posunięcia nowego rządu okazały się już dla Gdańska b. korzystne.

Prasa w Niemczech nie może tego przeboleć i różnych sposobów używa, aby spowodować rozdźwięk. Będzie to jednak o tyle trudno, że istotnie Gdańszczanie zrozumieli, iż agitacja nacjonalistów przyczyniła się do zdyskredytowania Gdańska w oczach całego świata.

Opinje pisarzy o prasie.

Stefan Żeromski o prasie (ze „słowa o Bandosie"):

„... Przybyło tylko, czego przed wielkiem nie znano — dziennikarstwo. Słowa „Polska, ojczyzna, kraj, społeczność" — poczęły służyć do tego celu, żeby znobizm ciemnego tłumu mógł być podżegany skutecznie, a interesy magnatów i bankierów osłonięte sztandarem. Przez pewien odłam dziennikarskiego motłochu święte wyrazy zostały zhańbione i pozbawione wewnętrznej treści. Zbezczeszczone zostały najtkliwsze dźwięki popowstaniowego języka, dostojnej mowy, w szkole milczenia zahartowanej, jak płytka stali, chowanej na piersiach, jak ryngraf".

Wacław Sieroszewski o prasie (z listu otwartego do pułk. B. Miedzińskiego z r. 1924):

„Gdy na podwórku nagromadzi się kupa nawozu, należy się starać ją z niego usunąć. To samo trzeba uczynić i na podwórku polskiej publicystyki, co mam nadzieję, wcześniej czy później nastąpi... Musi nastąpić, gdyż inaczej zginie Polska zduszona swojską zgnilizną... Nie wygramy żadnej wojny, nie odepchniemy żadnego najazdu, dopóki będziemy dzielić ludzi jedynie na prawych i lewych, zamiast odróżniać przedewszystkiem uczciwych od nikczemników!... Nie zbudujemy trwałych zrębów życia zbiorowego, dopóki czciciele mordercy pierwszego Prezydenta będą śmieli odprawiać uroczyste nabożeństwa i wiece zwoływać z powodu istotnie bolesnych bratobójczych mordów"...

„A temi drogami prowadzą nas zatruwani jadem zbrodniczym publicyści, dla których prawda, sprawiedliwość, honor i godność wobec przeciwnika politycznego nie istnieją... Trzeba więc im koniecznie nałożyć twardy kaganiec surowych kar za przestąpstwa przeciw czci bliźnego..."

Wędrówka po szpaltach prasy.

Jakże ci agitatorzy dziennikarscy są nieostrożni! O nikim chyba nie można z większą słusznością powiedzieć, że „nie wiedzą co czynią".

B. poseł prof. W. Konopczyński wydał w Krakowie broszurę p. t. „Sejm 1922—1927 bez osłonek", w której szereg cyfr i faktów ma charakteryzować pracę poprzedniego Sejmu.

Dziennikarze, agitujący na rzecz listy nr. 24 przytaczają z tej broszury niektóre cyfry, które mają mówić, jak ciężko prawica sejmowa pracowała, a które naprawdę mówią... zupełnie co innego.

„Gazeta Warszawska" w notatce p. t. „Roby" i „psuje" pisze: „Na ogólną liczbę 497 ustaw, których losy w Sejmie przedstawia stenogram, Z.L.N. przeprowadził na plenum Izby 187 (38 proc.), reszta Sejmu 310; kluby Chrz. Jed. Nar. razem 288 (59 proc.), też kluby razem z Piastem i z Kat.-Lud. 380 (77 proc.), reszta 117. Krótko mówiąc w Sejmie poprzednim prawica pracowała, zaś lewica—awanturowała się i hałasowała".

Prawica—to „roby", lewica — to „psuje". Ma to oznaczać: głosujcie na nr. 24.

A cóż to oznacza naprawdę?

W okresie pełnomocnictw od czerwca 1926 r. t. j. okresie półtorarocznym Rząd wydał bez rozpraw sejmowych 363 ustawy (jako rozporządzenia Prezydenta Rzpl.), podczas gdy na pracę Sejmu w ciągu półtora roku przypada tylko 200 ustaw,—czyli że kilkunastu ministrów bez „pomocy" Sejmu potrafi więcej zrobić, aniżeli 444 posłów i 111 senatorów.

Czyż więc te cyfry nie mówią raczej (jeżeli rozważać sprawę tylko z punktu widzenia wydajności pracy), że i prawica i lewica są niepotrzebne, i że cały Sejm jest niepotrzebny?

I czy nie lepiej byłoby przytomniej nieco uprawiać agitację?

Z innych cyfr, przytoczonych w tejże notatce, wynika, że najprzyzwoiciej zachowywała się w Sejmie prawica, „Naogół prawica wykazuje 20 przywyłań do porządku posłów, wykluczeń—5, lewica przywołań 246, wykluczeń 70".

Więc cóż z tego? Hałasy i awantury sejmowe oznaczają opozycję, a ponieważ wtedy rządziła prawica, więc posłowie prawicowi nie mogli sami przeciw sobie urządzać hałaśliwych występów. Gdyby rządy sprawowała lewica, z pewnością stosunek awanturniczości byłby odwrotny.

W tej samej notatce czytamy jeszcze: „Awanturniczość posuniętą aż do wykluczenia największą wykazali oczywiście komuniści — 300 proc. Związek Lud. Nar. 5 proc. żydzi 3 proc.", — czyli że żydzi mniej się awanturowali, aniżeli posłowie Z. L. N.

Idąc torem rozumowań agitatora dziennikarskiego, piszącego takie notatki, trzebaby dojść do wniosku: głosujmy na żydów, oni się zachowują najprzyzwoiciej.

Dziennik „ABC" biada nad tem, że „demoralizacja społeczeństwa czyni zastraszające postępy", a objawem tej demoralizacji mają być nie dancingi, nie rozwody, nie rozpusta, lecz wiece przedwyborcze listy nr. 1.

Jako ilustrację przytacza „ABC" taki epizod:

„Po skończonem zebraniu (na zjeździe urzędników w Warszawie, na którem podobno uchwalono głosować na nr. 1) do mówcy podchodzi jeden ze starych jego znajomych, socjalista i mówi z wyrzutem: „No wiesz! Nie spodziewałem się, że będziesz głosował na sanację!"— „Ależ człowiecze! Ani mi w głowie głosować na sanację"— „Jakto! A twoje przemówienie?" — „Mój drogi, wiesz przecież, że mam żonę i dzieci... Nie mogę się narażać".

Ma to oznaczać demoralizację, szerzoną przez agitację jedynki, a naprawdę oznacza demoralizację dziennikarstwa, posługiwanie się blagą pod pozorem troski o moralność społeczną.

Kto zna nieco stosunki urzędnicze, ten wie doskonale, że nie mogło być (i to w Warszawie!) sytuacji, którąby zmuszała urzędnika do przemawiania na rzecz jedynki z tego tylko powodu, aby uniknąć „narażenia się".

Celem oczywistym owego zmyślonego obrazku jest podsunięcie czytelnikom mniemania, że rząd bada przekonania urzędników i tych, którzy nie okazują sympatji dla jedynki, pozbawia zaraz pracy.

A wszystko to ma służyć na pożytek listy 24. Agitacja za tą listą nie jest demoralizująca.

Według dogmatyki głowy „katolicyzmu wyborczego" p. Strońskiego grzeszne to było przemówienie — w Częstochowie na akademji ku czci Ojca św.

Ks. biskup dr. Kubina powiedział:

„I nie ze względów politycznych, ale w imię prawdy stwierdzić trzeba, że Ojciec św. ma do Marszałka Piłsudskiego wielkie zaufanie. Jest On przekonany, że Polska pod rządami Marszałka pozostanie nazawsze katolicka. Z drugiej strony Marszałek Piłsudski nietylko słowami, ale i czynami swemi niejednokrotnie stwierdził, iż dążeniem jego jest ów serdeczny stosunek do Stolicy Apostolskiej nazawsze zachować. Na dzisiejszej akademji widzimy również przedstawiciela rządu, p. wojewodę kieleckiego, który osobiście przybył aby złożyć hołd Ojcu św. i stwierdzić, że rząd nasz obecny chce współpracować z Kościołem. Rozbudźmy więc w sobie wszyscy silną myśl państwową, oprzyjmy ją o ideę chrystusową i spełnijmy naszą wielką dziejową misję".

I ani słowa o liście katolicko-narodowej nr. 24?

Poza uprawianiem agitacji wyborczej prasa nie ma miejsca ani czasu, na zajmowanie się innemi jeszcze sprawami, ale mimo to dziennik „ABC" znalazł okazję, aby zastanowić się nad tem, „jakie też przykrości przezywa człowiek, którego skazano na śmierć na stołku elektrycznem, w chwili wykonywania wyroku".

„Jakie przykrości" — tylko o przykrości tu chodzi.

W rezultacie „ABC" stwierdza, że skazaniec żadnego bólu nie czuje i że „śmierć zadana przy przy pomocy prądu elektrycznego jest najłagodniejszym sposobem wykonywania przykrych w zasadzie wyroków sądowych".

Dowiadujemy się więc, że wyroki skazania na śmierć elektryczną są tylko „przykre" — i to tylko „w zasadzie".

I poco tyle hałasu robiono z powodu Sacco i Vanzettiego? Przecież chodziło tylko o drobną „przykrość w zasadzie"...

Zaczęło wychodzić w Warszawie nowe pismo tygodniowe „Ewa" poświęcone sprawom kobiety żydowskiej. Materjał bardzo obfity: szereg artykułów, wywiadów, opowiadań, nowele, tłomaczenia z żargonu,—wszystko bardzo dobrze pisane po polsku. Jedynie tłomaczenie noweli trochę niezgrabne. Nowela zaczyna się tak:

„Przypadkowo otworzył drzwi do jednego z pokojów w swojem mieszkaniu i ujrzał nagle swój koniec"...

CENA PRENUMERATY: w Warszawie, na prowincji i zagranicą: miesięcznie 1 zł. 60 gr., kwartalnie 4 zł. 80 gr.
Księżom, urzędnikom państwowym, nauczycielom i akademikom przysługuje zniżka 25%.
CENA OGŁOSZEŃ: cała strona 600 zł. i w tym stosunku każda część strony.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki, godz. 6—8.
Adres Redakcji i Administracji Warszawa, Hoża 41. Konto P. K. O. 16525.

REDAKTOR LONGIN PYTLASIŃSKI. WYDAWCA HIPOLIT KONSTANTY OŻAROWSKI.

Drukarnia „OSTOJA" Warszawa, Tamka 37. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.